



W
WIECZÓR
W
WROCŁAWIA

Wrocław, ul. Komandorska 5

wydanie

18 2 6 - 7 - 04 - 1974

Krakowskie „Biesy” we Wrocławiu

665 Prosimy częściej

Są doznania artystyczne, które — zwłaszcza formułowane na gorąco — można przekazać wyłącznie w kategorii wrażeń. Są, jeśli idzie o teatr, przeżycia tak wielkie, że ocenianie tego, co je wywołało na zasadzie „podało mi się” wydaje się być po prostu nietaktem. Są wreszcie odczucia takiej miary, że każde słowo próbujące je określić brzmi banalnie i fałszywie.

Tym być może nieco egzaltowanym wstępem chciałabym zastąpić truizmy w rodzaju: wielkie wydarzenie teatralne, wybitny spektakl, a odnoszące się do krakowskich „Biesów” pokazywanych wczoraj we Wrocławiu po raz pierwszy. Że wydarzenie i to wybitne pisano zresztą niejednokrotnie. Spektakl Wajdy stał się już niemal legendą. Po trzech latach mamy okazję konfrontować legendę z rzeczywistością.

Spróbujmy po prostu. Gościmy we Wrocławiu teatr znakomity. To też truizm, ale co poradzić. Gościmy teatr, który oprócz wirtuozerii warsztatowej proponuje potężny bagaż intelektualny. Mamy możliwość oglądać Dostojewskiego, dzieło najwyższej klasy światowej w adaptacji Alberta Camusa i mistrzowskiej wersji scenicznej Andrzeja Wajdy. W wykonaniu artystów których role przynajmniej niektóre, można określić mianem kreacji.

I znów ogólniki. Ale jak opisać wra-

nie, które wywołuje po wygaśnięciu światła potworny (a raczej upiorny) jazgot gitar elektrycznych i towarzyszące mu nieartykułowane dźwięki mowy ludzkiej, i rozpędzona widmowa trojka pędząca zdaje się wprost na widownię z olbrzymiego ekranu w głębi. I nagle cisza. W ascetycznej czerni sceny na tle szarych kłębiących się dymów pojawia się Stawrogin. Nowicki (najpełniejsza kreacja) zaczyna swój wielki monolog-spowiedź, ilustrowany niemymi obrazami w najdramatyczniejszych momentach. I znów jazgot, i dźwięki przypominające ni to sygnały z kosmosu, ni to jęki z zaświatów. Wchodzi narrator — Malak (świetny). Nie chłodny, obojętny informator o ludziach i zdarzeniach, ale jeden z nich, zaangażowany świadek i uczestnik tego, co się rozgrywa. I znów ciemność, dźwięk, rozjaśniony ekran. W półciemności w czerń spowite postacie w kapturach ustawiają sprzęty do następnej sceny. Tak będzie do końca. Tego rodzaju przerywniki rozdzielają wszystkie kadry.

Jazgot, wyciemnienie. Z góry zjeżdżają żyrandole. Scena w salonie. W środku Maria Lebiadkin (Izabela Olszewska). Ułomna, wariatka. W długiej sukieneczynie i chuście na ramionach, z różowym kwiatem na czubku głowy. Jest kolejno przerażona, nieśmiała, pragnąca dorównać damom w

salonie, uległa wobec Stawrogina. To wielka, największa chyba scena Olszewskiej.

I znów ciemność, znów piekielna muzyka. Następny kadr. Stawrogin ze swym „małym biesem” Wierchowieńskim (Jerzy Stuhr), z matką Barbarą Pietrowną (Zofia Niwińska — prawdziwa wielka dama rosyjska). W momencie, kiedy następuje dramatyczne spięcie, gwałtowny gest, błyskawicznie wchodzi przerywnik.

I finał. Postaci w kapturach już nie pełnią roli pomocników sceny. Są widoczni, stoją w pełnym świetle. Wiążą sznur w pętlę, wchodzą za zamknięte drzwi. Dokonało się już wszystko, całe zło możliwe do dokonania. Został jeszcze Stawrogin. Biegnie do niego Dasza. Postaci w kapturach otwierają usznięte drzwi. I widać jak na dłoni. Biesy osaczyły do końca Stawrogina — księcia zła. Jednym zdaniem narrator dopowiada to, co trzeba.

Oczywiście nie tylko tyle wypełniło trzygodzinny spektakl. I nie w takiej kolejności były sygnalizowane tu sceny. Chodziło mi głównie o przekazanie ogólnych wrażeń, nastroju widowiska, po którym ręce same się składają do oklasków dla wszystkich, dzięki którym można było coś takiego obejrzeć, usłyszeć. Prawdziwy, mądry teatr pokazali krakowianie. Teatr, o którym niektórzy zapomnieli już jak wygląda. Dlatego chwalić i hołubić, i naśladować, jeśli się da, należy to rzadkie zjawisko. A póki jest okazja korzystać z tego, że przyjechał do Wrocławia.

KATARZYNA KLEM

Teatr Stary im. H. Modrzejewskiej w Krakowie. Fiodor Dostojewski: „Biesy”. Adaptacja: Albert Camus. Przekład: Irena Guze; Opracowanie sceniczne, reżyseria i scenografia: Andrzej Wajda. Kostiumy: Krystana Zachwatowicz; Muzyka: Zygmunt Konieczny. Premiera: 29 kwietnia 1971 r.

Krakowskie „Biesy” we Wrocławiu

6/IV 74

32

WIELZOR WROCŁAWSKI

Prosimy częściej

Są doznania artystyczne, które — zwłaszcza formułowane na gorąco — można przekazać wyłącznie w kategorii wrażeń. Są, jeśli idzie o teatr, przeżycia tak wielkie, że ocenianie tego, co je wywołało na zasadzie „podobało mi się” wydaje się być po prostu nietaktem. Są wreszcie odczucia takiej miary, że każde słowo próbujące je określić brzmi banalnie i fałszywie.

Tym być może nieco egzaltowanym wstępem chciałabym zastąpić truizmy w rodzaju: wielkie wydarzenie teatralne, wybitny spektakl, a odnoszące się do krakowskich „Biesów” pokazywanych wczoraj we Wrocławiu po raz pierwszy. Że wydarzenie i to wybitne pisano zresztą niejednokrotnie. Spektakl Wajdy stał się już niemal legendą. Po trzech latach mamy okazję konfrontować legendę z rzeczywistością.

Spróbujmy po prostu. Gościmy we Wrocławiu teatr znakomity. To też truizm, ale cóż poradzić. Gościmy teatr, który oprócz wirtuozerii warsztatowej proponuje potężny bagaż intelektualny. Mamymy możliwość oglądać Dostojewskiego, dzieło najwyższej klasy światowej w adaptacji Alberta Camusa i mistrzowskiej wersji scenicznej Andrzeja Wajdy. W wykonaniu artystów których role przynajmniej niektóre, można określić mianem kreacji.

I znów ogólniki. Ale jak opisać wraże-

nie, które wywołuje po wygaśnięciu światła potworny (a raczej upiorny) jazgot gitar elektrycznych i towarzyszące mu nieartykułowane dźwięki mowy ludzkiej, i rozpędzona widmowa trojka pędząca zdaje się wprost na widownię z olbrzymiego ekranu w głębi. I nagle cisza. W ascetycznej czerni sceny na tle szarych kłębiących się dymów pojawia się Stawrogin. Nowicki (najpełniejsza kreacja) zaczyna swój wielki monolog-sповідь, ilustrowany niemymi obrazami w najdramatyczniejszych momentach. I znów jazgot, i dźwięki przypominające ni to sygnały z kosmosu, ni to jęki z zaświatów. Wchodzi narrator — Malak (świetny). Nie chłodny, obojętny informator o ludziach i zdarzeniach, ale jeden z nich, zaangażowany świadek i uczestnik tego, co się rozgrywa. I znów ciemność, dźwięk, rozjaśniony ekran. W półciemności w czerń spowite postacie w kapturach ustawiają sprzęty do następnej sceny. Tak będzie do końca. Tego rodzaju przerywniki rozdzielają wszystkie kadry.

Jazgot, wyciemnienie. Z góry zjeżdżają żyrandole. Scena w salonie. W środku Maria Lebiadkin (Izabela Olszewska). Ułomna, wariatka. W długiej sukience i chuście na ramionach, z różowym kwiatem na czubku głowy. Jest kolejno przerażona, nieśmiała, pragnąca dorównać damom w

salonie, uległa wobec Stawrogina. To wielka, największa chyba scena Olszewskiej.

I znów ciemność, znów piekielna muzyka. Następny kadr. Stawrogin ze swym „małym biesem” Wierchowieńskim (Jerzy Stuhr), z matką Barbarą Pietrowną (Zofia Niwińska — prawdziwa wielka dama rosyjska). W momencie, kiedy następuje dramatyczne śpięcie, gwałtowny gest, błyskawicznie wchodzi przerywnik.

I finał. Postaci w kapturach już nie pełnią roli pomocników sceny. Są widoczni, stoją w pełnym świetle. Wiąza sznur w pętle, wchodzi za zamknięte drzwi. Dokonało się już wszystko, całe zło możliwe do dokonania. Został jeszcze Stawrogin. Bieg nie do niego Dasza. Postaci w kapturach otwierają usłudźnie drzwi. I widać jak na dłoni. Biesy osaczyły do końca Stawrogina — księcia zła. Jednym zdaniem narrator dopowiada to, co trzeba.

Oczywiście nie tylko tyle wypełniło trzygodzinny spektakl. I nie w takiej kolejności były sygnalizowane tu sceny. Chodziło mi głównie o przekazanie ogólnych wrażeń, nastroju widowiska, po którym ręce same się składają do okłasków dla wszystkich, dzięki którym można było coś takiego obejrzeć, usłyszeć. Prawdziwy, mądry teatr pokazali krakowianie. Teatr, o którym niektórzy zapomnieli już jak wygląda. Dlatego chwalić i hołubić, i naśladować, jeśli się da, należy to rzadkie zjawisko. A póki jest okazja korzystać z tego, że przyjechał do Wrocławia.

KATARZYNA KLEM

Teatr Stary im. H. Modrzejewskiej w Krakowie.
Fiodor Dostojewski: „Biesy”. Adaptacja: Albert Camus.
Przekład: Irena Guze; Opracowanie sceniczne, reżyseria i scenografia: Andrzej Wajda. Kostiumy: Krystiana Zachwałowicz; Muzyka: Zygmunt Konieczny.
Premiera: 25 kwietnia 1971 r.